

Jerzy Święch

UMCS w Lublinie

Róbmy swoje, czyli kilka myśli o Henryku Markiewiczu niezupełnie nowych

Abstract

Let's do our bit – in other words – few thoughts about Henryk Markiewicz, which are not entirely new

The author in this article makes an attempt to present in a concise manner the basic rules, which according to Henryk Markiewicz, should set the standards of professionalism and procedures in the literacy research. Professor Markiewicz appears i.a.: as a consistent defender of competence based on thorough knowledge and expertise, as well as a supporter of systematic source research, the precision of terminology and clear assessment criteria, which allow to conduct specialised disputes and discussions that result in verification and systematisation of literacy science.

Słowa kluczowe: Markiewicz Henryk, teoria literatury, procedury badawcze, metodologia, profesjonalizm

Keywords: Markiewicz Henryk, literary theory, research procedures, methodology, professionalism

Słowo „badacz”, którego rzadko używał, jeśli już, to raczej „historyk literatury”, za jakiego naprawdę się uważał, miało w ustach Markiewicza odcień, który czasem zbliżał te nazwy do lekarza, a jeśli nie lekarza, to kogoś szczerze zatroskanego o czyjeś zdrowie, starającego się usunąć w porę dolegliwości, jakie z czasem mogły choremu zagrozić ciężką chorobą, kogoś wreszcie, kto traktuje wszelkie anomalie w prawidłowym funkcjonowaniu organizmu jako przejściowe i – mimo trudności – możliwe do wyleczenia. „Słabe tętno”, tak kiedyś, dawno temu, określił w „Polityce” (nr z 4 lipca 1987 roku) stan ów-

czesnej nauki o literaturze, bez względu na okoliczności (a były one, oględnie mówiąc, wysoce niekorzystne), zaś wcześniej (był rok 1962), narzekał, że dyskusje na tematy teoretyczne stały się w Polsce rzadkością (*Przekroje i zbliżenia*), wciąż myślał jednak o czymś w gruncie rzeczy podobnym, że przerwy w regularnym funkcjonowaniu osłabiają organizm, że aby nadrobić zaległości potrzeba wysiłku, który z większym pożytkiem mógłby być zainwestowany gdzie indziej. W otocze takich „pielegnacyjnych” metafor znajdują się utyskiwania na wszelkiego typu zaniedbania, poniechania, złe diagnozy, jakich dopuszczają się badacze, jakby wszędzie chodziło o niedostateczny sprawdzian stanu organizmu, domagającego się poprawy. W tle takich wyobrażeń przebija, słabiej lub mocniej, idea powrotu do normy, czyli wypróbowanych, dostatecznie sprawdzonych środków postępowania, leczenia, weryfikowanych przez praktykę, gdyż tylko takie zapewniają nauce prawidłowe funkcjonowanie „na co dzień”, gdyż – i tu Markiewicz chętnie zgodziłby się z T.S. Kuhnem – odkrycia w nauce zdarzają się rzadko, a bez „rygorystycznego treningu w myśleniu niealternatywnym”, nauce nie udałoby się „uzyskać obecnego stanu czy statusu” (*Dwa bieguny*). Czyli taka struktura pojęciowa nieodmiennie związana jest z normą „zdrowotną” jako pewną dyrektywą działania. Można czasem odnieść wrażenie, że bardziej niż stan i los pacjenta interesowała go kondycja lekarza, czy jest dostatecznie przygotowany na to, by w każdej chwili przyjść mu z pomocą, czyli prawidłowo zdiagnozować stan chorego. Zabiegi diagnostyczne Markiewicza obejmowały cały organizm literatury, choć przy niemal każdej okazji, zarzekał się, że nie jest w danej dziedzinie specjalistą, iż rzecz wymagałaby głębszych, bardziej systematycznych studiów (takich *loci communes* jest w pisarstwie Markiewicza więcej), to jednak poważał się na wszystko, co jego zdaniem wymagało natychmiastowej interwencji. Miał świadomość, że jeśli nie jemu, działającemu pod przymusem okoliczności, to komuś innemu uda się doprowadzić rzecz do szczęśliwego rozwiązania. W półzartobliwym „kodeksie badacza”, późnym, bo z roku 2000, bałaganiarstwo było grzechem tego samego rzędu co perfekcjonizm (*Język współczesnej humanistyki*, pod red. J. Pelca).

Ale na tym nie koniec, gdy mówimy o konceptualizacji czynności badacza w pisarstwie Markiewicza (nie wiem, czy ktoś się tym zajmował, a może warto). Otóż to, co robi, przypomina pracę kultury w tym sensie, w jakim kulturę pojmował np. Stefan Czarnowski: „Człowiek i narzędzia muszą się zespolić w systematycznym, uregulowanym celowo wysiłku” (*Kultura*, 1958). Już dawno przychodziła mi do głowy właśnie ta definicja kultury, kiedy zaczynałem myśleć o tym, co robi Markiewicz. Uprawianie wszelkiej refleksji o literaturze, bez dalszego specyfikowania i „refleksji”, i „literatury”, zawsze wydawało mu się czymś wysoce podobnym do kultury jako uprawy w pierwotnym sensie tego słowa, zbioru czynności uszeregowanych w logicznym i chronologicznym porządku od prac przygotowawczych: terminologii, definicji, przeglądu badań, problematyzacji, klasyfikacji, typologii itp., bo gdyby się nad tym zastanowić, to przecież spory odłam prac Markiewicza służył od lat

pokoleniom badaczy jako swoistego rodzaju preliminarium do właściwych eksploracji, (inna rzecz, jaki z tego robili użytek), wstępu do badań właściwych (na te często nie starczało już Markiewiczowi czasu). Czymże innym są legendarne wręcz „przełądowe” rozprawy Markiewicza, jak nie uważnym rozpatrywaniem się w stanie posiadania, który mamy obowiązek poznać, by nie narażać się na zarzut, że powtarzamy to, co inni przed nami zrobili lepiej. Na tym właśnie polega uprawa, że kolejności czynności nie można zmienić, nie można czegoś robić po drodze, co się wcześniej zaniedbało, zaczynać od tego, czego miejsce jest na końcu, w ogóle nie robić niczego za szybko – to bowiem kardynalny błąd, który skutkuje na wynikach. Nie można przystąpić do jakiegokolwiek zadania, nie zdając sobie w dostatecznej mierze sprawy z tego, jak się jest przygotowanym, trzeba wprawdzie dowieść kompetencji w jednej dziedzinie, by mieć prawo przejść do drugiej itd. Kolejność czynności uszeregowanych chronologicznie była dla Markiewicza wpisana w samo pojęcie procedury naukowej. Teorię literatury miał właściwie jedną, chętnie nazwałbym ją proceduralną. Wyrażając własne stanowisko w sprawie nowych koncepcji metafory, ekskuzował się, że przebadanie problemu wymaga „długich studiów przygotowawczych”, bo nim takie nie nastąpią, wszelkie wnioski mają jedynie wartość hipotez. Czelowanie narzędzi, uściślanie pojęć i terminów, tak by możliwie jednoznacznie określić teren ich zastosowań w rozwiązywaniu konkretnych zadań, kierowane jest myślą, że jeśli nie teraz, to kiedyś mogą się przydać i na tym samym odcinku okazać się równie skuteczne, bez obawy, iż przyrost materiału, co przecież zawsze się zdarza, zakłóci ten porządek. Porządek ten uważał za niezmienny, starał się mu nadać rangę dyrektywy powszechnie obowiązującej. To co robi badacz jest więc pracą pod przyszłą uprawę, choćby jej zarysy w momencie ostrzenia narzędzi wyglądały mgliście i nie dawały nadziei na to, by efekt nastąpił szybko. Przestrzegający kolejności procedur prędzej czy później sobie z tym poradzi. W kręgu takiej metaforyki jest przecież miejsce dla każdej „teorii”, która – a tego Markiewicz nigdy nie ukrywał – ma pełnić funkcje pomocniczego narzędzia w pracy, tym lepsza, im bardziej gwarantuje skuteczność działań na jednym, wyodrębnionym odcinku, nie ma bowiem teorii wszechobjemujących, które by mogły coś dać praktyce.

Badacz zachowuje się jak gospodarz, dokonując stale przeglądu stanu swego posiadania, gospodarstwa, którego nie zdobył aktem jakiejś agresji, lecz odziedziczył – i to poczucie, które każdy nowy nabytek każe rozpatrywać w świetle tego, co już jest, co jest dobrem zastanym, nie powinno ani na moment opuszczać badacza literatury. Przysłowiowe oko gospodarza oznacza w pierwszym rzędzie rozpatrzenie się w tym, co ma – czy to, co zastał i co uważa za nadal użyteczne, jest dostatecznie chronione, a reszta dostatecznie sprawdzona w działaniu, używana na co dzień, czy przypadkiem nie domaga się remontu, a nawet jeśli teraz do niczego się nie nadaje, to lepiej rzecz zachować, niż pozbyć się jej na zawsze (jakie dziś mogą mieć znaczenie przedwojenne spory na temat formy i treści?). Dziedziczenie zakłada szacunek dla poprzedników, niezależnie od rozkładu sympatii i uznania (Piotr Chmielowski,

oczywiście, ale był też i Stanisław Tarnowski i to wcale nie taki, jakiego sobie wyobrażamy). Pogląd, że przeszłość, która stanowi dziedzictwo, jest całością i wszelkie posunięcia badacza w tym obszarze muszą się z tym faktem liczyć, to kanon obowiązujący badacza. Zakresu tego, co uznaje za swoje dziedzictwo, nie da się oznaczyć mocą jakiegś jednej arbitralnej decyzji, obejmuje nie tylko doświadczenia wspólnoty, do jakiej kiedyś zgłosił akces i tego się trzymał, lecz także reakcje i doświadczenia innych. Markiewicz był z zamiłowania historykiem „myśli literackiej”, praca na tym odcinku dostarczała mu wiele przyjemności i zachęty do mnożenia świadectw oraz dokumentów, ale też pamiętał, że intuicje pisarzy, jakże często cenne, mają znaczenie, kiedy znajdują potwierdzenie w badaniach systematycznych (np. kiedy dotyczą sprawy obrazowości i ikonizacji, a podobnych jest wiele). „Inwentarzowe metafory” nieodmiennie towarzyszą lekturze wszelkich typologii i klasyfikacji Markiewicza, jakby wciąż chodziło o przemeblowanie pomieszczenia, a więc inne ułożenie sprzętów, tak by nowy układ uczynić bardziej przejrzystym, lepiej odpowiadającym potrzebom innych specjalistów w danej dziedzinie, ale też i innym użytkownikom (to z myślą o nich z sześciu funkcji języka Jakobsona pozostały trzy, intertekstualność otrzymała cały szereg „odmian” itd.). Kiedy pisze o „białych plamach zaległości badawczych”, o dysproporcji w zaawansowaniu badań na różnych polach, o „zweźeniu zasięgu badań i zwięzieniu rejestru warsztatowego” (*Przekroje i zbliżenia*), wszędzie występuje w roli gospodarza. Markiewicz właściwie coś stale dopisywał, uzupełniał, dokładał, tak jak to czyni dobry gospodarz powiększający swój inwentarz, ale pod warunkiem, że jest on dostatecznie zabezpieczony przez procedury. Metafory gospodarskie to po prostu obrona standardów dobrej roboty, a nie ma jej bez przestrzegania reguł. Nie są one powszechnie dostępne, zarezerwowane dla tych, którzy na tej pracy znają się po prostu lepiej. Ale po co od razu, atakując te standardy, mówić o wykluczonych, wywłaszczonych itp., jakby „grający w literaturę” mieli jednakowe prawa?

Markiewicz wyznawał zasadę podziału pracy (*division of labour*), która dzisiaj budzi tyle kontrowersji w sporach o profesjonalizm. Każdy specjalista, ekspert od czegoś efektywnie może pracować jedynie na własnym odcinku i choć, przyznawał, granice między polami często bywają źle oznaczone, zbyt arbitralne, literatura ma przecież swoje „sąsiedztwa” i trudno się z tym nie liczyć, to jednak wątpliwości takie nie podważają zasadności podziału literaturoznawstwa na wiele dyscyplin i poddyscyplin. Dopóki istnieje zgoda, że każda jest na swoim miejscu, dopóty można pracować bezpiecznie. Wspominany przypadek znaków ikonizacji jest *de facto* wkroczeniem na inną działkę – semiotyki, ale tylko po to, by rozważyć możliwość, jaką korzyść może badaczowi literatury przynieść wycieczka na tereny zasadniczo obce. Tak było z językoznawstwem, socjologią, psychoanalizą i wszystkimi innymi obszarami wiedzy *quorum nomina Deus solus scit*, a z którymi można było efektywnie współpracować pod warunkiem, że nie przekracza się granic własnej dyscypliny. Musiał sobie poradzić z tym, że pojęcia i terminy stają się

w humanistyce dzisiejszej coraz bardziej przechodnie, wędrujące (*travelling concepts* Mieke Bal), ale dyskusje na ten temat ucinał stwierdzeniem: „Spór o znaczenie terminów to najbardziej jałowe [!] zajęcie w humanistyce”. Tu należałoby otworzyć szeroki nawias dla terminologii i dla tego, jakie miała ona znaczenie dla Markiewicza, który tyle uwagi tym sprawom poświęcał. Rozbierał terminy na czynniki pierwsze, używanym starał się nadać znaczenie, które w rażący sposób nie kolidowałoby ze starym, przesuwał znaczenie terminu z jednego pola zastosowań na drugie, sceptycznie odnosił się do wszelkich prób modernizacji słownictwa naukowego jako słabo ugruntowanego w procedurze – zabiegom w tym zakresie nie było końca. Ale może warto sobie uświadomić, że kryterium stosowności użycia danego terminu była dla niego praktyka dostatecznie sprawdzona na jednym odcinku. Tylko tutaj można było dowiedzieć, czy dany termin właściwie spełnia swoje funkcje. Kiedy padają takie określenia, jak „ściśle”, „precyzyjne”, „subtelne” w odniesieniu do terminów, to stale należy pamiętać o tym, że dla Markiewicza miały one wartość narzędzi (tak rozumiem jego eklektyzm, autodefinicję, jakiej kiedyś użył). Używając np. semantyki, Markiewicz mógłby słusznie narazić się na zarzut, że w różnych kontekstach termin ten nabiera innych znaczeń – innych, gdy mowa o strukturze metafory, innych, gdy mówi o interpretacji „semantycznej”, semantyk miałby tu doprawdy wiele powodów do dyskusji z autorem. Ale kryterium stosowności danego terminu jest to, czy użycie jego sprawdza się na wybranym odcinku.

Konceptualizacja czynności badawczych w wykonaniu zarówno teoretyka, jak i historyka literatury grawituje u Markiewicza dalej ku takim wyobrażeniom, jak kontrola, inspekcja, ekspertyza. Działania tego typu muszą mieć uprawnomocnienie w kompetencjach danej osoby, nie może to być amator, postać wykluczona z towarzystwa, a wiadomo, jak bardzo Markiewicz wszelkiego amatorstwa nie znosił – legitymacją badacza, legitymacją najważniejszą, był warsztat (to, co robił w ostatnich latach, to bezlitosna analiza błędów warsztatowych lub brak warsztatu). Kiedy mowa o kompetencjach, to są one uprawnieniami z czyjegoś nadania, dostatecznie obudowane instytucjonalnie, by danego osobnika pretendującego do miana eksperta obdarzyć w ogóle zaufaniem. Może nań nie zasługuje. Markiewicz wierzył, że takim instytucjonalnym zabezpieczeniem dla nauki był – przynajmniej do pewnego czasu – uniwersytet, bo wiara w to z biegiem czasu zaczęła wyraźnie kruszeć, gdy coraz więcej gromadziło się na niebie dowodów, że uniwersytet tej roli, kuźni badaczy, nie spełnia. W każdym razie tak, jakby sobie tego Profesor życzył. Eksperta chroni procedura, trzymając się jej uzyskujemy pewność, że nie zboczymy ze słusznej drogi, choć nie jest dana raz na zawsze. Należy ją stale weryfikować i na tym polega kontrolny tryb prac badacza, że przede wszystkim kontroluje siebie. Z oferty jego korzystają tacy jak on, należący do tego samego towarzystwa i jeśli są niezadowoleni z jego usług, to dlatego, że potrafią zrobić to od niego lepiej, z lepszym wydatkowaniem energii. Markiewicz, dla którego rezultaty prac badacza zależą w ostatecznej instancji od aprobaty

wspólnoty, do jakiej należy, dzisiaj naraziłby się na krytykę ze strony podejrzewających ekspertyzę o to, że służy jedynie wzmocnieniu prestiżu przedstawicieli elitarniej grupy, która zamiast obsługiwać potrzeby innych (wszak mówi się o buncie korzystających z usług, *revolt of the client*, zob. B. Robbins, *Secular Vocations. Intellectuals, Professionalism, Culture*, 1993), dba jedynie o własne interesy. Swoje poglądy na ten temat uważał za tak oczywiste, tak odporne na jakiegokolwiek argumenty, że nie próbował nawet dyskutować na tematy, jakie przychodziły do nas z Ameryki, znajdując chętny posłuch wśród zwolenników raczej „miękkich”, niż „twardych” stanowisk w humanistyce. Cała ta dyskusja odbywała się bez obecności Markiewicza.

Jeśli dokładniej śledzić jego czynności, to funkcję kontrolera często zastępował korektor, ktoś kto poprawia czyjeś błędy, a te wynikają po prostu z nieprzestrzegania obowiązującej procedury, ta zaś jest uznana za taką nie dlatego, że pozwala unikać błędów, ale robić ich możliwie jak najmniej. Obszar tych korekcyjnych działań praktycznie obejmował wszystko, co mogło Markiewiczowi służyć za przedmiot refleksji. Stara Popperowska zasada, do której zresztą kiedyś się sam odwoływał, w ogniu dyskusji na temat interpretacji, że teorie, jeśli mają być skuteczne, muszą być wywrotne, falsyfikowalne, oznaczała, iż zadaniem badacza jest przewidzieć okoliczności, w jakich się ona sprawdzają, a w jakich nie. Cnotą uczonego nie jest nierobienie błędów, lecz popełnianie ich jak najmniej, a więc korygowanie czyichś błędów w takim stopniu, w jakim pozwala procedura. „Jedynie-słuszna-metoda”, w którą kiedyś wierzył, a którą potem bez ustanku próbował „rewidować” (trudno sprawę ominąć), miała tę wadę, że dla „ukąszonych” sprawdzała się w każdych warunkach. Przeto starał się wyeliminować ten błąd, jaki tkwił w marksizmie i psuł wyniki teorii, ale tak przecież, dowodził, dzieje się w każdej teorii. W słowie „teoria” kryła się u Markiewicza zresztą trudna do usunięcia dwuznaczność, choć nie zawsze łatwa do uchwycenia ze względu na uważny i tolerancyjny stosunek do każdej nowej propozycji, zwłaszcza tych, z którymi programowo się nie zgadzał, dwuznaczność wynikała z podejrzania, by nie stało za teorią żądanie dowodów na wszystko. Tak przynajmniej rozumiem częsty u Markiewicza zbieg „teorii”, „spekulacji” i „mody”. Konsekwentnie, własnej teorii nie miał, prześwietlał tylko cudze. Nie stał się nią marksizm, do którego cały czas wracał, z nadzieją, że może uda się go poprawić i udoskonalić, jeszcze w późnych latach utrzymywał, że to „dziedzictwo” nie jest do końca rozpoznane, ostatecznie przyznając mu rację w jednej tylko sprawie, procesu historycznoliterackiego, ale dla praktyki historyka literatury i to nie miało większego znaczenia. Sceptycyzm w sprawie teorii nie czynił zeń bynajmniej sojusznika nowych teorii i metodologii. Za „kontrolnym” trybem argumentacji Markiewicza stoi bowiem przekonanie, że każdą hipotezę należy testować (raz jeszcze odzywa się „krytyka hipotez” Poppera), jeśli suma nieprawidłowości i błędów się zmniejsza, jeśli pozwala to usprawnić narzędzia analizy, wyostrzyć terminologię i lepiej zdać sobie sprawę z celów, jakim praca badacza ma służyć na wyodrębnionym przez niego odcinku.

Trudno mi pozostawić sprawę teorii bez jeszcze jednej uwagi – tym bardziej, że Markiewicz okazywał się tu nieświadomym sojusznikiem przeciwników teorii, gotowych głosić triumfalnie, że oto nastał czas „postteorii”. W tym przypadku chodziło jednak o coś innego. Dla Markiewicza każda teoria i każda definicja miały wartość roboczych hipotez, dlatego jego „teorie” (upieram się przy tym cudzysłowie) często sprawiają wrażenie konstrukcji czynionych *ad hoc*, ważnych okazjonalnie, a nie w każdych warunkach, jakby doczepionych do obserwacji, które dla swego ugruntowania nie potrzebują teorii, lecz porządku, klasyfikacji, podziałów, typologii itp. działań. Zarówno jako historyk „myśli literackiej”, jak i krytyk teorii Markiewicz najlepiej czuł się w sytuacji, gdy wkraczał na teren, o którym wiedział, że został już przez kogoś zagospodarowany, ale w sposób nie w pełni uporządkowany, należy przeto zrobić to powtórnie, by rzecz uczynić bardziej przejrzystą dla oka, a przez to lepiej przygotowaną pod dalszą uprawę. To jest właśnie owo gospodarskie zacięcie w stosunku Markiewicza do obowiązków literaturoznawcy – robić to, co nakazuje zdrowy rozsądek, nie bacząc na koszty. A były to koszty, jakie musi płacić ekspert. A ten nie znajdowałby dla swojej pracy uprawomocnień, gdyby nie zakładał istnienia sektora wiedzy i powiązanych z nią czynności zarezerwowanych na jego własne potrzeby. Kiedy dostrzegł, że tę kanoniczną prawdę z ideologicznych (nie naukowych!) względów się kwestionuje, wycofał się na pozycje sumiennego i krytycznego obserwatora tego, co się dzieje na scenie najnowszych badań, a dzieje się źle. Nie przestrzega się elementarnych standardów pracy naukowej. W jednej ze swoich ostatnich zbiorówek z roku 1986, *Literaturoznawstwo i jego sąsiedztwa*, pod tym względem granicznej, wyznawał po prostu, że jest ona „pożegnaniem z dociekaniem teoretycznoliterackimi”, a oznaczało to w istocie stanowczy brak akceptacji z jego strony wszystkiego, co było przeciwne jego własnym „założeniom i regułom myślenia”. Jasne, że jeśli ktoś, jak On, zakłada określoność znaczenia, a zatem poprawność interpretacji, sprawa jej nie jest kwestią teorii, lecz etyki (w referacie na Zjeździe Polonistów w roku 1995 mówił wyraźnie o etyce interpretacji, dodając do tego kąśliwą uwagę o „ludycznym traktowaniu zajęć literaturoznawczych”). Gdyby ktoś zażądał od niego deklaracji na temat literatury jako instytucji (a Fisha z pewnością czytał, bo czytał wszystko), toby prawdopodobnie odpowiedział, że jest wielu uczestników tej gry, ale każdy z grających w grę zwaną literaturą powinien nie tylko przestrzegać własnych reguł i nie wkraczać na teren, gdzie obowiązują już zasady inne, lecz także zakładać, że między tymi grami istnieje pewna hierarchia i ostatnie słowo należy do ekspertów, tych, którzy się na tym znają lepiej od innych.

Nie może ulegać wątpliwości, że dla Markiewicza ekspert pracuje w ramach narzuconych sobie ograniczeń. Nie wątpię, powtarzam, że zdawał sobie sprawę z tego, iż wykrawanie obszaru penetracji, ściśle wykreślanie granic (czasowych, przestrzennych, problemowych) jest zawsze, w każdych warunkach, posunięciem arbitralnym, lub że „techniczny” stosunek do terminologii, polegający na przeniesieniu terminów z jednego obszaru zastosowań na drugi

bez szkody dla użytku, jaki może czerpać z tego badacz (a tak Markiewicz często robił), pogłębia tylko ich wieloznaczność. Ostrożność, do jakiej zobowiązany jest ekspert, widoczna jest u Markiewicza w unikaniu militarnych metafor: walki, frontów, ataków, strategii, które nie były mu obce (acz w dosyć ograniczonym zakresie), gdy pisał programowy tekst (1950) *Materializm historyczny a nauka o literaturze* (wszak miał to być „szkielet informacyjny”). Badanie literatury jest zajęciem, które odbywa się w pokojowej atmosferze – należy raczej czekać, nim konkurent sam zobaczy swoje słabości, niż go frontalnie atakować. Do krytyki stanowisk, którym nie sprzyjał, i polemiki zabierał się dosyć późno, jakby chciał przeczekać kulminację myśli do momentu, gdy straci ona (przynajmniej częściowo) uznanie także i wśród swoich zwolenników. Książka *Wymiary dzieła literackiego* (1984), w całości poświęcona krytycznej obserwacji stanowisk reprezentowanych przez semiotykę, narratologię, Bachtina i jego bezkrytycznych akolitów, psychoanalizę itd., ukazała się w momencie, gdy impet tych szkół i środowisk znacząco osłabł. Zdystansowanie się od rzeczy, gdy lepiej widać jej blaski i cienie, jest posunięciem taktycznym, które badaczowi oferuje komfort sprawiedliwej oceny, według rzeczywistej, a nie pozorowanej wartości tej rzeczy. O tym, jak bardzo taką taktykę ceniał, dość przeczytać we wstępie do wyboru pism René Welleka (1979) i choć poza nim mało komu przyszło do głowy, by pytać autora, jaki był jego stosunek do marksizmu, to jednak (tak mi się przynajmniej wydaje) marzyło się Markiewiczowi, by odegrać rolę podobną do tej, jaką w zachodnim literaturoznawstwie odegrał Wellek. Informacyjna rola, jaką przez dobre dwie – trzy dekady odgrywały *Główne problemy wiedzy o literaturze* (pierwodruk 1965), czyni z tej książki, owszem, w niemałym stopniu jeszcze „rozrachunkowej”, pozycję do dziś cenną, choć aktualizacja bibliografii w kolejnych wydaniach zmuszałaby też do wielu zmian w tekście głównym, czego Markiewicz nie robił, widocznie uważając, że nie osłabia to celów, jakim książka miała służyć.

Cnotą eksperta jest stać na zewnątrz obiektu, zajmować pozycję neutralnego obserwatora, a jak wiemy – i jedno, i drugie jest niemożliwe. Markiewicz zbyt często angażował się w bieżące spory, by nie pozostawiło to śladu w jego pracach naukowych. Neutralność jest meta, do której im bardziej się zbliżamy, tym bardziej się od nas oddala, co nie znaczy, by takiego nastawienia poniechać. Bezstronność punktu obserwacyjnego jest zamierzoną taktyką, o czym mógł się przekonać czytelnik historycznych zarysów myśli literaturoznawczej stworzonych przez Markiewicza, gdzie rzeczy wyglądają tak, jakby opowiadały się same, według własnego, nienarzuconego im scenariusza, gdy w istocie od początku są zorganizowane, umieszczone tam, gdzie być powinny, ale dyskrekcja historyka nie pozwala na ujawnienie roli, jaką w tym spektaklu odgrywa. Ekspert taki jak Markiewicz najwięcej dla siebie okazji znajdował tam, gdzie materia sporu o „izmy” czy teorię powieści (dwa ważne tomy poświęcone tej problematyce) nie jest wyraźnie określona, zmierza nie do precyzji, lecz gubi się i odnajduje w wielogłosie rozmaitych stanowisk oraz punktów widzenia, po to, by tym pewniej mógł wkroczyć na ten teren ze swoim *distinguo*, pona-

zywać rzeczy w taki sposób, który ściera z nich sensy przypadkowe, obciążone piętnem czasu. Ileż wysiłków poświęcił Markiewicz, by dyskusje wokół realizmu sprowadzić na grunt klasyfikacji i typologii, spełniających warunki systematycznych badań. Na tym polegał przecież stale podnoszony empiryzm Markiewicza, uznawany za szacunek dla historycznoliterackich konkretów jako ostatecznej instancji przesądzającej o wartości i ważności wniosków. W istocie było to postępowanie wyznaczone przez procedurę badawczą, a ideał profesjonalisty jako cudzoziemca w terenie, na którym się znalazł (*the profession of a stranger*, według R. Williamsa, por. jego *What I Came to Say*, 1989), zdecydowanie nie przystaje do Markiewicza. Angażował się tylekroć, ilekroć o jakichś sprawach pisał, chociaż starał się to ukryć za pancerzem profesjonalisty, dlatego że w „podziale pracy” miały one swoje miejsce. Ekspert pracuje w warunkach bezpieczeństwa, które sam stwarza.

Czytelnik tych słów łatwo z pewnością dostrzeże, że piszący ustawia swojego bohatera na tle dzisiejszych sporów o profesjonalizm w humanistyce, co w niej znaczy „wiedzieć jak”. Jeśli Markiewicz nie angażował się w ten spór, to dlatego, że stały za nim (i nadal stoją) ideologiczne przesłanki, których nie podzielał. Nie szukał porozumienia z *leftists*, nadającymi ton dyskusji na temat uniwersyteckiego kampusu jako środowiska opiniotwórczego, ponieważ – jak sądzę – dyskusja ta zbyt odbiegała od polskich realiów. Obronę profesjonalizmu rozumiał zupełnie inaczej niż wspomniany tu mimochodem Fish, zgodny z nim w jednym, że nie tylko w przypadku interpretacji, ale i na wszystkich innych polach badacz nie zaniedbuje standardów obowiązujących w macierzystej dyscyplinie (*I can't stay away from the staff*, wyznał w końcu Fish, *Professional Correctness*, 1995). Nie stracił dlań na znaczeniu opór wobec „polonistycznego żargonu”, o czym pisał na łamach „Życia Literackiego” jeszcze w roku 1959 (*Kłopoty historyków literatury*), choć w czasach nam bliższych słowa, jakie tam padły („uczona» terminologia osłania pustkę, banalność lub chaos myślowy”), miałyby już innych adresatów. Dyskurs naukowy Markiewicza świadczy pod tym względem o niewątpliwym długu, jaki zaciągnął on u szkoły lwowsko-warszawskiej, i można się domyślać, iż miło mu było, że jego świecki dekalog, o jakim wspominaliśmy przed chwilą (przykazanie drugie brzmiało: „Nie poświęcaj bezspornej «doksy» dla nieprawdziwych paradoksów”, a piąte: „Jasność to uprzejmość uczonego – pisz więc jasno; jeśli chcesz powiedzieć, że «deszcz pada», pisz, że «deszcz pada»), znalazł się w publikacji, którą otwiera wybór z pism Kazimierza Twardowskiego. Pointa tych paru dygresji na temat Profesora Markiewicza znajduje się w tytule, zacerpniętym z jednej z piosenek Wojciecha Młynarskiego; „róbmy swoje”, trzymając się porządku, nie sięgając dalej, niż pozwala na to wypróbowana i zahartowana w bojach procedura, którą ktoś inny nazwie warsztatem, inny wreszcie – podręcznikiem dobrej roboty w prakseologicznym znaczeniu tego terminu (optymalizacji wyników). Wszędzie jednak chodzi o to samo, uczciwość i rzetelność w pojmowaniu zawodowych obowiązków. Oczywiście, nie napisałbym tego wszystkiego, com napisał, gdybym się z Profesorem nie zgadzał.